

2703/48/40,-

BIBLIOTEKA LUDOWA
POLSKA.

PAMIĄTKI

JPANA SEWERYNA SOPLICY

Czołnika Fornawskiego

TOM VIII



J. FRANKEL

KSIĘCARNIA JARYZ
LUXEMBURGSKA
10 ULICA DE TOURNAI 10.

WYDAWCA

WYDAWCA

22205858530

BIBLIOTEKA LUDOWA
POLSKA.

PAMIĄTKI

J. PANA SEWERYNA SOPŁICY

Cześnika Parnawskiego

TOM VIII



PARYZ
KSIĘCARNIA LUXEMBURGSKA
16 RUE DE TOURNON 16.

J. FRANKEL

L. HERINGTON



340825

8



KK 142/67/2
10.8

PAMIĄTKI

JPANA SEWERYNA SOPLICY.



BŁOGOSŁAWIONA

ANNA Z OMIECIŃSKICH.

Nie nie jest lepszego, jak we wszystkim spuszczać się na Opatrzność, bo bez Jej pomocy na nic się nie zda najprzenikliwszy rozum. Pan Bóg stworzył człowieka, o nim nie zapomni, i wszystkie okoliczności tak mu kieruje, by najłatwiej swoje zbawienie mógł otrzymać. Dobrze li się dzieje, Panu Bogu dziękuj, źle : zgadzaj się z Jego wolą : a jak szemrać będziesz, cóż zyskasz ? Jego nie nastraszysz, ani zmusisz. Jeżeli nie uważa na twoje szemrania, jako na głupstwo, więc one ci się na nic nie przydadzą, jeżeli uważa, to ze wszystkim zginiesz. Kogo nie zmożesz, temu ulegaj. Módl się w złych przygodach, płacz przed Nim, proś, błagaj, póki Go nie zmiękczysz, a nie bój się być natrętnym ; bo on jest Pan dobry, miłościwy, kochający swoje stworzenie. On nie tylko Stwórcą, ale i Zbawicielem, nie tylko Bogiem ale i człowiekiem. — Sam cierpiał i wie, czem są cierpienia

ludzkie. Błogosławiona Anna z Omiecińskich, miała dziwne w tym względzie objawienie, które wyczytałem w Supraślu u OO. Bazyłjanów, z rękopismu wkrótce po jej śmierci przez jej spowiednika napisanego pod tytułem: *Potok łask Pana Boga w Trójcy Świętej jedyne go wezbrany na Koronę Polską i Wielkie Xięstwo Litewskie*. A który to rękopism że drukiem nie został ogłoszony, to z tego powodu, że byliśmy już pod gwarancją a że w tych objawieniach były przepowiednie, któreby może nie wszystkim były do smaku, więc Książę Biskup Wileński postanowił, aby utaić co Bóg objawił, aby się nikomu nie narazić. Toć to wszystko się wydoskonaliło, Apostołowie głośno się z tem oświadcza li, że najlepiej Bogu być posłusznym. Teraźniejsi Pasterze uczą, że posłuszeństwo Panu Bogu na tem się zasadza, aby i urzędowi być we wszystkim posłusznym. A Książę Biskup był wielkim wyznawcą tej nauki, i nieraz dał tego dowody, a mianowicie z ojcem Atanazym Hołownią Bazyłjanem. Po dziś dzień głośne w Słuczczyźnie missje ojca Hołowni. Książę Biskup zabronił ojcu Atanazemu misjonarzować i ustnie go strofował, — a biedny Bazyłjan, co lubo bardzo uczony, wyglądał jakby prostaczek, na to: — Przewielebny Panie, wszakże Apostoł urzędowi powiedział: *Si justum est in conspectu Dei, vos potius audire quam Deum?* — Książę Biskup obruszył się na to okropnie i zdobył się na concept: — Zrób Waszeć aby chromi wstawali jak powiem: *Surge et ambula*, a uręczam że z Apo-

stolskiem mężtwem na wszystkich się porwę. — A Bazyljana w ciemie nie bito. — JO. Pasterzu, powiedział mu, będą chro mi wstawać na te słowa, byle były zupełnie w tym samym porządku wymówione, bo Śty Piotr nie wyrzekł *Surge et ambula*, aż wprzód powiedział: *Argentum et aurum non est mihi*. Zmieszał się Biskup, a nie nie mógł powiedzieć, ani go ofuknąć, raz że było wielu obecnych, przed którymi nie rad był źle się wystawić, powtóre że wszystkim było wiadomo, iż ojciec Atanazy od blisko lat pięćdziesiąt co był zakonnikiem, ręką nie dotknął kruszcu, chyba kielicha przy ołtarzu, i miał za wielkie ubliżenie świętobliwości kapłańskiej, zajmować się interessami świeckimi, i posiadać złoto i srebro przeciw radom ewangelicznym, a jako niczem nieposzlakowany, śmiało przypisywał łakomstwu duchowieństwa upadek wiary w owezarni i tym podobne klęski. On omal na całe życie nie był zamknięty za to, że w Wilnie, każąc na konsekracji Biskupa miał powiedzieć: *Teraz Duchowieństwo za pieniądze poświęca dary Ducha Świętego, a na tem skończy, że ani Ducha Śgo ani pieniądze mieć nie będzie, bo Pan Bóg swoje, a djabeł swoje odbierze.* — Duchowieństwo łacińskie bardzo się na niego było oburzyło, nawet Ks. Witoga Jezuita wydał był książkę, w której usiłował dowieść, że O. Atanazy wznawia błędy Hussa, ale mu to wszystko w niczem nie zaszkodziło, bo duchowieństwo jego obrządku, mniej pieniądze od łacińskiego, jego poparło, a Bazylanie na Litwie byli mocni,

a powtóre Szlachta i pospólstwo za nim obsta-
wały; ile że on niczego nie pragnął, żadnego
urzędu zakonnego nigdy nie posiadał, missje o
żebranym chlebie odprawiał, od ludzi możniej-
szych uciekał, tylko z chłopkami i nędzarzami
przystawał. — A nakoniec niechętni mu pasterze
i kapłani, nie bardzo śmieli na przeciw niemu
za daleko się posuwać, bo chodziły wieści, że
nieraz Pan Bóg jego świątobliwość błogosławił
cudami. Jakoż w czasie głodu, który Litwę tra-
pił roku 1744, w Lidzie na rynku wśród dnia,
stos kamieni w stos bochenków chleba znakiem
Krzyża Świętego przemienił, co stwierdziło ze-
znaniem lub podpisaniem świadectwem więcej
tysiąca chłopów i kilkudziesiąt szlachty tymże
chlebem nakarmionych. Ale Ojciec Hołownia
oddalił mnie od materji. Błogosławiona Anna
Omiecińska nie tyle mądrością słynęła, ile mi-
łością pałała dla Chrystusa Pana, i tą właśnie mi-
łością doszła do najwyższej mądrości. Napróżno
djabł chciał jej tę miłość nadwątlić, zawsze ze
wstydem był odparty, ale przecie dokazał, że
spokojność jej umysłu zamącił następną pokusą.
Dlaczego jest jedno piekło dla wszystkich nie
pokutujących ostatecznie grzeszników, a prze-
cie nie jednaki los wszystkim na ziemi przezna-
czony. Człowiek np. urodzony w nędzy, lub
wyzuty obcemi nie podwładnemi mu okolicz-
nościami z dóbr, chwytą się niegodziwych
zysków, nakoniec rozboju, i umiera nie opa-
miętawszy się, sprawiedliwość Boska do piekła
go odsyła, a gdyby on się był urodził jak ów

drugi, bogatym, lub mu zawsze jak innemu los dopisywał, nie miałby potrzeby śmiertelnie grzeszyć dla pieniędzy, mając ich i tak do sytości, i byłby może uszedł wiecznego zatracenia. Toż i inni, do których zguby obce wpłynęły okoliczności w jakich nie własną, lecz Opatrzności wolą zostawali. Ta pokusa tyle ją dręczyła, iż leż strumienie wylewała modląc się przed Zbawicielem, aby jej umysł od takowego zaciekania się uwolnił, protestując się przed nim, iż o niczem wiedzieć nie pragnie, byle przy największej ciemnocie, nie ją od miłości Jego nie oderwało. I na modlitwach nie poprzestając, takimi pokutami siebie wycieńczała, że wyszła do kości, aż zwierzchność klasztoru, w którym mieszkała, to dośledziwszy jej nad sobą katowanie, zabroniła jej postów i innych umartwień cielesnych, któremu rozkazowi z największą pokorą się poddała, lubo to poddanie się było dla niej największem. nad wszystkie dawniejsze, umartwieniem. Nakoniec Pan Bóg zlitował się nad nią, w swojej łasce ją utwierdził, i zachwycił razu jednego jej duszę przed swoje oblicze aby jej odkryć tajemnice świętej swojej sprawiedliwości. Ujrzała przed Bogiem dusze wszystkich jej znajomych żyjących, byli tam kapłani co w dom jej rodziców uczęszczali, i samiż jej rodzice, krewni i poddani i słudzy i żebracy, kogokolwiek tylko znała, było też kilku magnatów, co szczególnemi względami zaszczycali jej rodziców, i sam król August szczęśliwie wówczas panujący na Polsce, Li-

twie i Saxonji, a którego przed rokiem widziała w Warszawie, kiedy jej ojciec będąc delegowanym z Województwa Wołyńskiego dla powin-szowania Królowi szczęśliwie zawartego Karłowickiego traktatu, przedstawiał mu żonę i córkę. Jeszcze w tym dniu Król bardzo zmieszał świątobliwą panienkę zbytnie chwaląc jej piękność, a będąc wesółym i nieco za poufłym z kobietami, kiedy ona rękę pańską do ust przybliżała, chciał ją w twarz pocałować, co u dworu było uważane jako grzeczność królewska poddanej wyświadczona. Wtedy Anna acz błogosławiona, tak się przełękała iż zemdlała, czem i Króla i dworzan a szczególnie rodziców, nie mało nastraszyła. Otóż tedy te wszystkie dusze stały u podnóża Stolicy Bożej, jak staną kiedyś do sądu po zupełnem rozstaniu się z ciałem, (te są dosłowne wyrazy rękopismu) a każda dusza o wszystkich grzechach najdokładniej wiedziała, i o wszystkich grzechowych okolicznościach, bo to wszystko było na nichże wyrażone, że i błogosławiona Anna na nie patrzyła, jakby na swojej dłoni. A Pan Bóg nie miał potrzeby ich sądzić, bo każda dusza sama siebie jak najsprawiedliwiej osądziła. Strach był wielki, bo póki z ciałem dusza sama siebie niby oszukuje, ale bez niego nie ma omamienia, każda rzecz przed nią na wierzch wychodzi. A bardzo było dusz mało, wedle relacji naszej Świętej, któreby sobie przyznały prawo do nieba, nie wiele też było wprawdzie, coby na wieczne potępienie zasłużyły, ale najwięcej takich, którym trzeba było

oczyszczać się jeszcze pokutą. Nam się zdaje, że czyścić nie wielka rzecz, ale dusza sro-
dze się jego boi, bo tam takie cierpienia,
że wszystkie nasze są fraszkami, a nad wszyst-
kie cierpienia wstyd, że aż poniewolnie po-
kutować trzeba, a tak łatwo było za żywo-
ta od tej biedy się ustrzedz. Truchlały więc
dusze, chociaż Pan Bóg żadnego na siebie du-
szy wyroku nie zaostriżył, a wiele ułagodził, a
taka była trwoga, że i błogosławiona Anna roz-
biłaby się na widok udręczenia tych dusz,
gdyby jej Pan Bóg nie dodał siły do zniesienia
tego, na co patrzała. Otóż JEZUS CHRYSTUS nasz
Zbawiciel i Sędzia, powiedział tym wszystkim
duszom : — Jeszcze na was ostateczny koniec
nie przyszedł, wracajcie do ciał, które na was
czekają. A jeżeli stan, w jakim którego z was
umieściłem, myślicie, iż jest na przeszkodzie
zbawieniu, każdy niech sobie wybierze dogo-
dniejszy, a który wybierze, w tym go postawię. —
Tu wszystkie dusze zaczęły prosić, aby do końca
im pozwolił zostać w takim, co go im przezna-
czył, bo w żadnym innym z taką łatwością się
nie zbawią. Król chciał być królem, szlachcie
szlachcicem, włościanin włościaninem, nędzarz
nędzarzem, a jako tu nikt nie rad ze swojego
stanu, tam każdy błogosławił Pana nad Pany iż
żadnemu nie dał to, co by było z jego szkodą, a
to tylko uszkodziło, co nie było z własnej woli
i ze swoich usilności, a nie wymodlił u Boga.
Dopiero każdą duszę odesłał do jej ciała na na-
szym padole płaczu, i każdy obudził się jak ze

snu twardego, nie pamiętając co się z nim stało. Tylko błogosławiona Anna z rozporządzenia Bożego zachowała w pamięci, jak nasz Zbawiciel swoje rządy usprawiedliwił, przed swoim stworzeniem. I za jego pozwoleniem dla większego zbudowania Kościoła, to wszystko wyznała przed swoim spowiednikiem, a ów kapłan to zeznanie między wielu innemi, umieścił w rękopismie, o którym dopiero wspomniałem. Tem się utwierdzić możemy, że najlepsza modlitwa ta, co ją wprost od samego Boga mamy: **BĄDŹ WOLA TWOJA JAKO W NIEBIE TAK I NA ZIEMI**, a co nam potrzebnego, On to nam da. Luboć i o doczesne rzeczy prosić trzeba, bo jak się otrzymają, coby mogło być w nich szkodliwego, tą prośbą wnet się oddziela, jak plewa od ziarna. A uchwaj nas Boże! abyśmy szemrali, kiedy nam odmawia o co go prosimy, dla naszego dobra może daru udzieli, może go też zupełnie odmówi, a w takim wypadku choć nie miłym, dziękować mu trzeba, bo jego mądrość i miłosierdzie ochronią nas od zguby, za którą nasza wola nieoświecona łaknie. O! wieleż to razy każdemu z nas zdarzyło się napróżno pragnąć takich rzeczy, co później, bardzo się cieszył, że ich nie dostał.

ZDANIE SZLACHCICA O

WOLTERZE.

Jeszcze to nie najdawniej, ustawicznie o Wolterze rozprawiano, aż uszy bolały jedno a

jedno słuchać. Jakoś to jeszcze za konfederacji Barskiej, to nazwisko pierwszy raz obilo się o uszy moje. Pamiętam w Preszowie u Przewiełbnego Krasińskiego Biskupa kamienieckiego, który był i świętobliwym kapłanem i wielkim Senatorenem; bywał często Pan August Siedlnicki Wojewodzie podlaski. Ten Pan Wojewodzie dworakował u Króla Poniatowskiego, ale że był krajowi życzliwym, więc chociaż go grafem nazywano, i po niemiecku się ubierał, do nas akces zrobił, i przy łasce Bożej dotrwał do końca. Książę Wojewoda wileński, co go nie lubił, raz że nie po naszymu się stroił, powtóre, że miał we zwyczaju zbytnie przy starszych rozprawiać: bywało mawiał o nim: « Ten Francuz z Mokotowa, chce nam wmówić panie kochanku, że wszystkie rozumy pojadł. » — Otóż razu jednego gdy u Biskupa Krasińskiego, w przytomności Księcia Wojewody, i innych Panów i Szlachty, Wojewodzie rozszerzał się nad swojemi peregrynacjami po zagranicznych dworach i ziemiach, gdy przyszło do Francji, zaczął się rozwodzić nad Wolterem, jak on to niszczy w swoim narodzie przesady i zabobony, i daje mu światło widzieć, i że co to byłoby za szczęście gdyby w naszym kraju, podobny do niego wielki człowiek się zjawił, i tym podobne rzeczy; Książę Wojewoda przerwał mu dyskurs mówiąc: — « Panie kochanku widziałem tego Woltera, at zwyczajnie Francuz, pochwytal koncepta od księdza Bohomolca i temi swoim baki świeci. » — A trzeba wiedzieć, że ksiądz Bo-

homolec, wydał był świeżo bardzo piękną książkę, pod tytułem : *Djabel w swojej postaci*, gdzie sztydził z upiorów o czem Książę wiedział, a że sam wierzył w upiory i mocno się ich obawiał; więc z tego powodu zbrzydził Księdza, i już mu do siebie przystępu nie dopuszczał.

Tylem tylko przez długi czas wiedział o Wolterze, człowiek to wojując, to w Palestrze obywatelom służąc, to koło roli pracując, nawet czasu nie miał dowiadywać się, co też tam się dzieje za górami. Ale gdy się doczekało dobrze osiwieć, a siła i ochota do pracy się zmniejszyły; człowiek rozrywki potrzebując, na starość wziął się do czytania. A że wtenczas o Wolterze bardzo mówiono; wyznając że uczulem chętkę, dokładnie poznać co też ten Pan Wolter tak mądrego wymyślił, ale trudno było w podeszłym wieku po francuzku się nauczyć, żeby go zrozumieć. I z tem niejednokrotnie słyszeć się dawałem przed swoimi.

Aż tu na moje imieniny, Staś mój wnuk, dopiero skończywszy nauki w Wilnie, i z francuzczyzną jak się należy obeznany; dał mi na wiązanie przez siebie tłumaczoną tragedję Woltera *Zairę*, gdzie to miał niby wystawić Turków i chrześcijan w czasie wojen krzyżowych. Właśnie na ten dzień zjechało się do mnie łaskawe sąsiedztwo, a między innymi Pan Azulewicz Tatar ale szlachcic, przyjaciel i kolega mój. On to kiedyś posłował na Krymie w czasie konfederacji barskiej i w Stambule lat dziesiątek przepędził w usługach Rzeczypospolitej, i półko-

wnikiem był w wojsku, a potem w mojem sąsiedztwie osiadł na dziedzicznej wiosce. Nasza przyjaźń nie wczorajszą była, kolegowaliśmy z nim w poselstwie do Siczy zaporozkiej i JW. Ogiński Wojewoda Witebski, wyprawił nas obu do Chocima, ażeby wręczyć konia w bogaty rząd ubranego, Emir-Jussufowi tamecznemu Baszy, który nam sprzyjał, a to wywdzięczając się jemu, że jego ludzi zbrojnych którzy przez Dniestr przeprawili się, uchodząc przed ścigającym nieprzyjacielem, swoim kosztem podejmował, i przez swój kraj przeprowadził aż na Pokucie gdzie z konfederatami się złączyli. To ów Basza wedle ich obyczajów okazał się iż nam był rad kawą i sorbetem nas częstował. Obdarzył Pana Azulewicza kosztownymi paciorkami, nakosztował naszych różańcowych, do odprawiania jakichś tam mużulmańskich modłów. A mnie dostała się szabla prawdziwy Damaszek, na którym można dukatem pisać, jak kredą na tablicy; którą to szablę na Bilsku po naszymu kazałem oprawić : ale potem gdy mi do głowy nieco skrupułu przyszło, że chociaż Emir-Jussuf, ucziwy mąż, przecie jako bisurman, może coś niedobrego do tej szabli przyczepił; a że ja broni chciałem używać po szczeremu, bez żadnych inkluzów, jako katolickiemu szlachcicowi przystoi; otóż uprosiłem księdza Marka, ażeby na wielkim oltarzu podczas mszy świętej ją poświęcił i taką po dziś dzień chowam którą po mojej śmierci wnukowie znajdą. Kiedy Staś wziął się do czytania, wszysej z uwagą słucha-

li go, a szczególnie Pan Azulewicz, co znał Turków na pamięć, i ja nieco z niemi obeznany oddając sprawiedliwość i pracy tłumacza, przez którą dziadowi chciał życzliwość swoją okazać i niektórym czułym kawalkom; ile razy Turcy występowali, ledwośmy, za boki siebie nie brali ze śmiechu. Sultan narodu, gdzie wielomówstwo jest w obrzydzeniu i pogardzie, byle o co rozprawia, jak Piekarski na mękach. Któż o tem nie wie, że Turczyn tak jest zazdrośny, że bratu rodzonemu na swoje żony patrzeć nie pozwoli, a do tego tak wstydlivy, że nie tylko kobiety i rzeczy jej tyżące się nie wspomni, ale słuchać coś podobnego, poczytuje za największą nieobyczajność i zgorszenie. Otoż u pana Woltera Sultan nie tylko że ze swoim powiernikiem jak i on Turczynem, tak szeroko plecie o miłości, że i warszawskiego nawet panieza mógłby coś nowego nauczyć; ale Rycerzy Chrześcijańskich, z którymi od dzieciństwa wojował, i dotąd wojuje, do komnaty swych kobiet dopuszcza, z niemi rozmawiać pozwala, i takich im wolności udziela, jakieby u nas nawet, za dawnych czasów nie uchodziły, a na koniec ów Sultan turecki sam się zabija jak Niemiec, który zbankrutował. Otoż to wielki człowiek, któremu wierzone, jakby jakiemu Prorokowi! Co mnie po dowcipie, kiedy kawalka prawdy nie ma. I on to przeciw Religji naszej pisał, i bałamucił młodzież, jak mnie światli ludzie o tem zapewniali. Na biedę przyszło, kiedy tak wierutny łgarz wiarę znalazł.

ZAMEK KANIOWSKI.

Żadna rzecz ludzka nie jest doskonałą a co tylko ludzie wymyślą, to inni ludzie ulepszyć mogą: albo li, co często bywa, zepsują. Lecz te rzeczy co już w obyczaj weszły, częstokroć takim podlegają zawilosciom, że bez zbytecznej zarozumiałości przyganiać im nie można. Wiele jest na świecie rozmaitych narodów, a każdy z nich podlega pewnym prawom, krępującym go bez wątpienia, ale razem za'ezpieczającym byt jego. W tych wszystkich prawach jest i wielki stosunek i wielka odmienność. Stosunek w tem wszystkim co się odnosi do wyobrażeń, danych człowiekowi wprost od Boga, różnica we wszystkich względach jedynie ludzkich. Jak to bywało mówiono o dekretach, że niektóre z *nogami*, to jest: nabiegane, drugie z *rękoma*, to jest: po prostu opłacone, a przecież najwięcej takich, co wedle Boga i sumienia, bo inaczej nie byłoby sprawiedliwości między ludźmi. Toż i o prawach powiedzieć możemy: są między niemi takie, które oczywiście dla osobistych a chwilowych okoliczności napisanemi były, i te wyległy się w czasach, kiedy już prawodawstwo wąlić się zaczęło, kiedy u prawodawców uczucia już z serca do głowy przenosić się zaczęły. Ale każdy naród jeżeli zechce się opatrzyć, przekonana się, że wszystkie jego starożytne prawa, wedle Boga napisane były. Nie wiele pokładam ufności w prawie świeżo utworzonem, ale co się

dotyczy tych, co już przeszły przez probierczy kamień czasu, dla nich jestem przejęty głębokim uszanowaniem, tak dalece, że chociażby i dziwaczności się zdawały, zaraz przychodzi mi na myśl, że muszą się odnosić do jakich okoliczności, które gdyby wiadome były, przekonałyby o ich mądrości i właściwości. Prawo jest historją narodu, i taką, która zaprzeczeniu nie podpada, jak dzieje, które mogły się wydarzyć lub nie, albo pozwólmy że się wydarzyły rzeczywiście, jakaż pewność, że ten, co je opowiada, zachował czystą prawdę, bez nadwzięcia jej ozdobami? Czy raz bywało, że z kilku naocznych nawet świadków jednego zdarzenia, każdy je po swojemu opowie, jeden wspomina o okoliczności takiej, drugi o innej, która pierwszą zbija, domyśl się wtedy czyja prawda. Ale w prawach nie ma obludy, z nich jak oliwa z wody na wierzech wychodzą obyczaje narodów, i to jest właśnie prawdziwa historia. Wyrzucają naszemu dawnemu prawodawstwu, że nie było w niem środków wykonawczych i dość sprężystych, czem prawo równano do pajęczyny, w której mucha się wikła, a bąk ją przebija. Nie przeczę, by nie miało być coś gruntownego w tym zarzucie, ale nigdzie jeszcze nie usnuto pajęczyny na bąka, wszędzie bieda z bąkami. Każdemu narodowi można powiedzieć z ruska po polsku : *kruty ne kruty hotowu neboże nie dokażesz*, żeby chudemu pacholkowi było to samo, co panu. Choćbyś się pozbył wszystkich panów, wkrótce oni się znowu po-

każą, alboż co jesieni pszczoły nie wybijają swoich trutniów co do nogi, a przecież na wiosnę znowu ich pełno. W czasie Sejmu czteroletniego my wszyscy się zapalali do tego, co się wówczas we Francji działo, jak to było pięknie równością naszą szlachecką całkowity naród obdarzyć, Króla osadzić, dworaków się pozbyć, uwolnić się od wszystkich tych, co dotąd ciążyły na równości obywatelskiej, jednem słowem wytepić szerszenie i baki, żeby tylko zostały same muchy, na które pajęczyna prawa jest dostateczną. Sliczna myśl, a długo li ona była stateczną? Z pomiędzy much niektóre powyrastały, tak, że już stały się ogromniejszymi od tych baków, które się naprzykrzyły, wszystko się wkrótce odnowiło, i król i dwór, i magnaci, a co wygnano wszystkiemi drzwiami, oknami wróciło, to kiedy po upłynionych latach, Francja przyszła do naszej Litwy, był to dla nas czas wielkich nadziei, ale który zrodził nam tylko nowe nieszczęścia, bo przeciw nam był mocarz silny i przezorny, a za nami przyjaciel nieszczery i nieroztropny, otóż wtedy napatrzyłem się na kozery francuzkie. Taki co przed kilkunastą laty bił się za równość ziomków, tak spyszniał, że ani dostąpić do niego. Będąc członkiem Komissji centralnej w Grodnie, z urzędu mego musiałem codziennie odnosić się do francuzkiego Gubernatora: jak mówiono był on kiedyś błacharzem, co mu nie krzywdę, ale zaszczyt owszem przynosiło, bo któżby miał mu za złe, że meztwem i zasługami, do wysokich

dostojeństw się wyniósł, ale co to była za duma, co za i adętość! Obwiniają naszych magnatów, że byli wyniosłymi, oj wołałbym z najmniejszym naszym magnatem rok przebyć, niż godzinę z podobnym gubernatorem. Nie taję mojego wyznania, może byłoby dobrze, by żadnego nie było magnata, zgoda: piszę się na to, i krwią własną podpiszę, od pastucha do senatora niech wszyscy będą równi, ale majali być koniecznie magnaci, niechże będą przynajmniej tacy, których krew z wielkich przodków na nich się zlała; uchowaj nas Boże od podpanków, od takich co lubo teraz można, lecz ich dziadowie w palce chuchali dla ogrzania się w zimie, bo im świeższe u nas szlacheństwo, tem więcej cuchnąca duma. Alboż to nie widzimy codziennie, że ekonomskie syny dzisiaj więcej nosa do góry zadzierają, niż dawniej senatorskie dzieci. Dawniej magnat był dumny, ale względem równego mu magnata, względem szlachty i sług był poufałym i braterskim. Teraz syn ekonomski czy tam wnuk, jak się dodrapie przestronnego dziedzictwa, ani patrzy na zacnego człowieka, pokrzywdzonego losem, nie ma upokorzenia, którego by względem niego nie ważył się dopuścić. Ale niechno się pokaże rossyjski, czy to gubernator, czy jenerał, albo jaki i ziomek silny, potężny w służbie tego rządu, a wnet tak się przed nim uniży, tak się splaszczy, takimi nadskakiwaniami jego uwagę ku sobie skłoni, żeśmy o tem nigdy i wyobrażenia nie mieli. Szlacheć, z zaścianka, w lata-

nej opończy, dla zapewnienia sobie kawałka chleba, co go nie codzień jadł do sytości, pewnie nie tyle się płaszczył przed Księciem Wojewodą Wileńskim, ile teraz marszałek lub prezydent przy obszernym majątku, przed lada zwierzchnością obecną, żeby wypodlić sobie ćwierć łokcia wstążki. Slabe były środki wykonawcze w naszym prawodawstwie: dajmy że tak było rzeczywiście, cóż ztąd za wniossek, że obywatele zli byli, owszem musieli być bardzo cnotliwi, kiedy prawodawcy na ich charakter jedynie się spuszczali. Bywały czyny dowodzące przemocy magnatów, ale nie myślcie, by to wszystko było prawdą, co teraz o nich mówią. Nie jednemu się zdaje, że u nas były ciągle najazdy, że magnaci nie mieli innej rozrywki, tylko batożenie szlachty, że gwałt był ciągłym stanem narodu. Czyż to wszystkiemu wierzyć, co ludzie mówią. W całej Wielkopolsce, ani słychu nie było o najazdach, toż samo w Małopolsce, na naszej Litwie przez całe moje życie trzy były tylko wypadki, że pan szlachezca najechawszy, ukrzywdził. Nasz Książę napadł był w karczmie na pana Zarebę, i jego skrzywdził, JW. Tyzenhauz, Podskarbi Wielki Litewski panu Turowi przez jedną noc wszystkich poddanych na swoje grunta przeniósł, i tak chałupy i dwór sprzątnął, że gdzie była wieś, zostało same orne pole. Był głośny proceder między JW. Żabą Wojewodą Połockim, a panem Hutorowiczem osiadłym szlachecciem, którego tenże JW. Żaba pięć lat więził okutego w pi-

wnicy, że aż po pas broda mu urosła. Otóż i wszystkie gwałty Litewskie przez lat dwadzieścia, a jeśli szlachta między sobą się powadziła, i przyszło do uczynków, toć to już nieprepotencja, na całym świecie ludzie siebie krzywdzą, i na to jest prawo. A ktoby tam urzęda stanowił gdyby ludzie żyli jak anieli. A i te czynności, o których nadmienilem, na sucho nie uszły. Nasz Książę pięćdziesiąt tysięcy musiał bezwarunkowie zapłacić Panu Zarębie, a taki dwanaście niedziel w wieży *personaliter* wysiedział w Nowogrodku. Z Panem Tyzenhauzem gorzejby się stało, gdyby go nie był zakwitował z procederu Pan Tur, wzięwszy za to kamienicę na Antokolu, i ustępstwo Starostwa Sutorowickiego, na co JW. Podskarbi przywilej Panu Turowi od Króla wyrobił, a na JW. Żabę wypadł dekret grodzki, w którym rozdział II artykuł 28 Statutu Litewskiego z całym rygorem do niego zastosowany został. To ledwo wyłamał się z niego w Trybunale, sownie wprzód zagodziwszy Pana Hutorowicza, by mu w tym wyrobiek *u* nie przeszkadzał. Sprawa więcej dwóchkroć go kosztowała, chociaż i strona powodowa była zaspokojoną, i sam Książę Wojewoda Wileński zjechał na Trybunał, by za przyjacielem forsować. O żadnej innej prepotencji magnata względem szlacheica, nie słyszałem, a pewnie po aktach ciągle szperając, a z ludźmi obcując, nic takiego przedemną by się nie utaiło. Ukraina była jedyną częścią Rzeczypospolitej, w której podobne bezprawia nie były rzadkie. Tam

było kilku panów możnych, a szlachty nadto mała liczba, by im jakąś przeciwwagę położyć, nawet w tej małej liczbie szlachty osiadłej na Ukrainie, ledwo dziesiąty był prawdziwym szlachcicem, reszta z poddanych dworskich, co ich panowie z Wielkopolski i z Krakowskiego lub z Podlasia wywiezli, którzy po polsku mówiąc, a w usługach pańskich jakiegoś grosza nazbierawszy, przyszli powoli do roli dziedzicznej, czy zastawnej, i tak wdarli się cichaczem do szlachectwa, nim go sobie i potomkom zabezpieczyli, korzystając z pozwolenia danego Królowi Konstytucją 1766 roku, która to Konstytucja samowolnie rozciągnięta nad jej wyraźne brzmienie, nie mało pieniędzy ukraińskich do kassy Króla Stanisława przywabiała. Komuż nieznany Pan Potocki Starosta Kaniowski, na którego rachunek nakarbowano wszystkie gwałty, jakie przez półtora stulecia może robiły się na Rusi, a bez wątpienia że i on sam nie mało ich naplatał, ale i on pod pewnym względem służy na dowód, że była u nas sprawiedliwość; wszak ci on żadnego szlachcica nie zabił, tylko gęsto sypał plagi na tych, do których coś upatrzył, co nie było trudno, bo był chymeryk. Przecie miliony miał po rodzicach, posiadał Starostwa intratne, grosza na przepych nie marnował, owszem był wielkim gospodarzem, żadnemu panu trzy wsie nie przynosiły tyle, ile mu jedna, a po śmierci nie wiem czy dwakroć sto tysięcy na jego synowca spadło. Ile bowiem batogów sypnął był jedną ręką, tyle potem tysięcy

drugą, na zagojenie pierwszych dawał. A wie-
leż to na Ukrainie Libełbaronów na dziedzictwo
wyszło z łaski jego batogów. To tu razu jednego
powiedział pewnemu szlachcicowi co mu na-
przykizał się w karczmie : *Nema hroszy, ne bu-
du byty*. Wszyscy słyszeli o Staroście Kaniow-
skim, a ja byłem mu osobście znany, nawet
miłem z nim interes, z którego powodu cały
tydzień służyłem mu w Kaniowie, i mogę się
pochwalić, że najmniejszej przykrości z jego
strony nie doświadczyłem. Owszem tyle okazał
się dla mnie łaskawym i łatwym w interesie, że
daj Boże moim wnukom, każdy ich interes po-
dobnie kończyć, a moja bytność w Kaniowie
nastąpiła z następnego powodu.

Książę Wiśniowiecki, Hetman Wielki litew-
ski, którego córka jedynaczka była matką na-
szego Księcia, miał Starostwo kaniowskie,
nadane jeszcze od Króla Augusta starego. Tam
jako zwyczajnie wtedy na Ukrainie, zastał
same pustki. Ale w przeciągu swojego władania,
wymurował zamek, wystawił folwarków, mły-
nów, i zabudowań co nie miara, o co po jego
śmierci, successorowie poszukiwali swojej na-
leżytości w Rzeczypospolitej, że kiedy później
to Starostwo dostało się Panu Potockiemu, on
wziął na siebie obowiązek zaspokojenia Księżnę
Radziwiłłowę. Za wstawieniem się przyjaciół,
interes został ukończonym. Jeszcze Księciu
Wojewodzie wileńskiemu *residuiatem* zosta-
wało u Pana kaniowskiego czternaście tysięcy,
które się zawiodły z powodu zamieszek krajo-

wych od śmierci Augusta III. Książę Pan wróciwszy do Olyki z Lublina, po ukończonym interesie z XX. Lubomirskimi, przypomniał sobie, że mu jeszcze coś należy od Starosty kaniowskiego a chcąc mi łaskę wyświadczyć za moje usługi, darem darując odstąpił mnie tych czternaście tysięcy, dodając: — Panie kochanku! Waszeć teraz na Rusi, ruszaj-że sobie do Kaniowa po pieniądze, abyś z golemi rękoma nie pokazywał się żonce, której od Waści kłaniać się będę. Padłem do nóg mojemu JO. Panu. Czternaście tysięcy wtedy był piękny grosz, a nawet i teraz ktoby ich na drodze znalazł, nie szczędziłby rąk swoich do ich podniesienia. Ale jak zaczęli mi ludzie mówić o dziwactwach Pana Starosty, że zamiast monety srebrnej, nie trudno w Kaniowie o rzemienią, nie małom się nafrasował, lecz powiedziałem sobie: — Naprzód panie Sewerynie, czyż już dla wilka nie iść do lasu, choć skóra w strachu, ojciec dzieciom czternaście tysięcy dla strachu nie opuści, chybaby już oczu nie pokazać między ludźmi. Postanowiłem tedy, odebrawszy list od Księcia Pana do Pana Starosty, nazajutrz puścić się w podróż. Pan Bartłomiej Chodźko, napierał się być moim towarzyszem, ale mnie na to nie namówił, bym szedł z żarem do prochowni. Cały wieczór na pokojach miną nadbrałem, ale w sercu była wielka niespokojność, tak, że przed wyjazdem, na intencję pomyślnej podróży opatrzyłem się Przenajświętszym Sakramentem w Kollegjacie Olyckiej, i uczynilem

ślub, że po odtrąceniu wszelkich wydatków, z całej kwoty co ją odbiorę, opłacę dziesięcinę w połowie Kollegjacie, a w połowie Siostrzom Miłosierdzia w Nowogródku. A lubom wiedział że pan Starosta wówczas znajdował się w Kaniowie, puściłem się jednak ku Podolu, a to: żeby przypomnieć się JW. Potockiemu Podczaszemu litewskiemu, u którego kilkakrotnie byłem na ordynansie w czasie Konfederacji barskiej. Ba! omal że nie zabrał mnie wtedy z sobą do Stambułu, co mi się bardzo podobało, bo który młodzian nie rad jak najwięcej świata przebieść, ale woła Pana Boga była, bym swoim w kraju służył, bom tak na malignę zapadł był, że JW. Podczaszy bezemnie wyjechał, lecz mogłem sobie pochlebiać, że jakiś wstęp mam do jego osoby.

Pojechałem więc do Morawy, raz dla złożenia czołobitności ziomkom poświęconemu panu, powtóre że on zasługami swojemi mógł być uważanym za głowę domu Potockich, chciałem się więc ubezpieczyć w Kaniowie, jego listem do pana Starosty. Jakoż chociaż tuzin lat i więcej minęło, jak mnie widział ostatni raz pan Podczaszy, od razu mnie poznał, nazwał mnie po chrzestnem imieniu, i tak łaskawie mnie przyjął, że padłem mu do nóg łzami się zalawszy. Z wielką czułością wypytywał mnie o JO. Księciu moim Panu, i o innych Magnatach litewskich, z którymi miał przyjaźń, a których oddawna nie widział, bo od Sejmu podziałowego, zamknął się był w Morawie, i zajmował się

gospodarstwem, usunawszy się od życia publicznego, w którym wedle jego przekonania, nie godziło mu się być czynnym. I tyle okazał się dla mnie łaskawym, że chociaż zostawał w obojętności względem pana Starosty kaniowskiego, z powodu iż ten świeżo kazał był powiesić żyda z Morawy, nie odniosłszy się do niego, jednak własną ręką napisał za mną list instancjonalny, co mi go przed wyjazdem wręczył JPan Wirski, Marszałek jego dworu, a niegdyś jak ja Konfederat barski. Pan Wirski przyjął mnie był na swoją kwaterę, i przez dwie doby com przebył w Morawie, miałem u niego wszelką wygodę. Nie był mu tedy tajny mój interes z panem Starostą, a że go znał dobrze i sam bywał nie raz świadkiem jego dziwactw, różne dał mi informacje, o trybie życia, jaki on przybrał. Szczególnie mnie radził, bym nie ważył się kolami zajeżdzać przed jego zamek, ale konno przybyć, gdyż Pan Starosta zaraz się kwasi na szlachcica, co nie będąc chorym ani zgrzybiałym, pozwala sobie podobnych zniewieściałości. Utrzymywał albowiem, że w Polsce temu tylko pojazd godziwy, kto ma krzesło w Senacie lub Trybunale, albo miejsce na ławach poselskich, dając z siebie przykład, że będąc tylko Starostą, podróże chociażby najdłuższe, wierzchem odbywał. Tak więc listami, radami, a najwięcej ufnością w Bogu opatrzony, puściłem się do Kaniowa dnia 4go Sierpnia, w wigilię N. Panny Śnieżnej. Nie omieszkałem kupić po drodze w Niemirowie terlicę kozacką z całym moderunkiem, a mia-

łem w leju klacz skarogniadą, która w potrzebie niezgorzej pod siodłem chodziła, i szczęśliwie po czterech dniach podróży, już po zachodzie słońca, zajechałem do żydowskiego domostwa na przedmieściu kaniowskiem. A nazajutrz raniuteńko wysłuchałem Mszy Świętej u Ojców Bazylianów. Do południa nachodziwszy się po mieście i namedytowawszy, kazałem chłopcu klacz okulbaczyć, i w imię Boskie ruszyłem na niej wprost do zamku. Przed bramą spostrzegłem trzy słupy, z uszami żelaznemi do zawiązywania przy nich koni. O, tu pan Wirski zapomniał mnie oświecić, że ja samym instynktem tylko uniknąłem napaści. Jeden słup był karmazynowy, drugi biały, a trzeci czarny, przy pierwszym uwiązałem klacz i dobrze mi się udało, bo jakem się później dowiedział, ten słup był dla szlachty, drugi dla chłopów, trzeci dla żydów, a jak kto wybierze słup niewłaściwy swojemu stanowi, a pan Starosta to spostrzeże, temu już bieda, zwłaszcza, jeżeli podochocony. Że to była Sobota, pan Starosta ten dzień suszył, i żadnego mocnego napoju nie używał, o czem się dowiedziałem u Bazylianów, więc miałem dobrą nadzieję o pierwszym spotkaniu, a wziąłem na siebie mundur albeński, do którego noszenia świeżo byłem upoważniony. Uwiązawszy tedy kobylinę u szlacheckiego słupa, poszedłem na dziedziniec, gdzie zastałem wychodzących z Kaplicy zamkowej, i rozpierzchających się po dziedzińcu dworzan i sług kaniowskich, kilku zo-

stało tylko przed Kaplicą z czapkami pod pachą, a jeden miał głowę nakrytą, którego po tem samem można było poznać, że to był sam pan Starosta. Chociaż wzrostu nikłego, a chudy i ogorzały jak Cygan, było coś odznaczającego się w jego obliczu, coś okazującego, że był nawykłym do dawania rozkazów, a jeszcze więcej do tego, by je natychmiast spełniano. Z dworzan otaczających go, żadnego nie było, coby go przynajmniej głową nie przenosił, a szczególnie jeden bliżej jego stojący, (do którego właśnie w tej chwili przemawiał, i można było zaraz poznać, iż się zazwyczaj ściślejszą poufałością pana) był i ogromnej tuszy, i olbrzymiego wzrostu, przecie gdyby nawet pan Starosta wraz z nimi miał głowę odkrytą, aniby się wahał domyślić, że on nad nimi wszystkimi starszy. *Poznać pana po cholewach.* — Jego czurpyna czarna i kędzierzawa, u spodu podgolona, długiem spadała kudłem niżej prawego ucha, więcej z kozacka, niż z polska, małe oczy czarne błyszczały jakby jaszczurcze, w twarzy, po której kilka szram świadczyło, że w burdach swoich, własnego łba nie szczędził; a najgłębsza kresa co mu lewy policzek na dwie części ledwo nie równe przedziełała, jakem się później dowiedział, była pamiątką tego najpoufalszego dworzanina, z którym rozmawiał, a który tem iż go przemógł, zaskarbił sobie szczególne pańskie względy. Wszyscy dworzanie byli odziani porządnie, nawet nie bez jakiegoś przepychu. Ale on sam miał na żupanie płótno

domowej roboty, z pod którego wyglądały karmazynowe hajdawery, długą kurtkę granatową z potrzebami, a żupan był opasany rzemiennem łykiem, przy którym wisiała ogromna szablica. Właśnie zapalał mu lulkę Kozaczek, mający za pasem nahaj w srebrną skówkę oprawny. Zbliżyłem się ku niemu, i nisko skłoniwszy się, zabierałem się do opowiedzenia siebie, ale jak utkwiał we mnie wzrok swój, zmierzyszy mnie wprzód od głowy do pięty, zmieszał mnie z razu, tak, że zapomniałem języka w gębie. Zaraz wszelako przyszedłem do siebie, jak się odezwał pan Starosta. — Co to Waszeć jak widzę Albeńczyk, a co nam z Litwy przynosisz? — Odpowiedziałem śmiało. — Mam listy do JW. Pana, które dadzą mi wstęp do mówienia o interesie, — i dobywszy z zanadrza list z Morafy, złożyłem go w jego ręce. Ale ledwom wspomniał Morafę, nadstawił marsa. — To znowu wymówki za Żyda co go w Kaniowie powiesili, pan Podczaszy za Żydem się ujmuje jakby za rodzonym bratem : aż Albeńczyka na mnie sprowadził, a wiesz Waszeć że to Kaniów, jeśli z Morafy przejeżdżasz, to musisz wiedzieć, że Boćki do Pana Podczaszego należą, i że ja ztamtąd co roku kilkadziesiąt nahajów sprowadzam. — Tu wzięwszy nahaj od kozaczka : Widzisz Waszeć *timor Domini* alias pióro, ja miewam we zwyczaju, że na listy z wymówkami odpisuję nim na skórze tych, co mi je oddają. — Tu się obruszyłem jakby nie było, a nadto dobrym się czułem szlachcicem, bym dał sobie

mówić o batogach, — JW. Starosto! powiedziałem śmiało, — może na Ukrainie we zwyczaju, nahaj za pióro a skórę szlachecką za papier uważać. Ja jestem dworzaninem Księcia Wojewody Wileńskiego, od niego w swoim interesie przyjeżdżam, o czem list od J. O. mojego pana przekona. O żadnym Żydzie morawskim nie wiem, tylko JW. Podczaszego o list instancjonalny prosiłem do JW. Pana i dostałem go bo mnie znał JW. Podczaszy, kiedyśmy razem nie nahajem ze szlachtą ale szablą z wrogiem wojowali. Ja jestem litewskim szlachcicem, a do tego Albeńczykiem, i mam przy sobie pałasz, który moją skórę przegrodzi od batogów; a jeżeli mnie liczbą rozsiekacie, znajdą się koledzy moi którzy choćby w zamku kaniowskim, po mojej śmierci nawet odszukają mojej krzywdy. — Wypogodził oblicze swoje Pan Starosta a obróciwszy się do poufalego dworzanina : *Oto nawiżenny Litwak, czortaby natukaw*, widzę żeś prawdziwy Albeńczyk Panie bracie, samopas gotoweś mnie najechać w moim zamku. *Mospace Łopucki! przeczytajno czocho choczet wid nasz pan Podczaszy*. Odczytał głośno ogromny Dworzanin list pana Podczaszego, w którym żadnych nie było wymówek, tylko za mną instancja w nader chlubnych o mnie wyrazach, o którychem się ani spodziewał, anim na nie zasłużył. *Dobre bratku dobre, pomyrymsia : na szczo nam z soboju wojowaty* i podał mi rękę, którą z uszanowaniem pocałowałem. — *Dawaj no teper piśmo*

Księcia Radziwiłła — List był krótki w którym mój Książę prosił o łaskawę przyjęcie swego sługi. — Pan Starosta z przymileniem powiedział : — Proszę panie bracie, rozgościć się w moim domu, nie puszcę Waszeci od siebie, pokąd tydzień nie upłynie. — Dziś Sobota, *wodu piję jak Sęteżyn*, ale jutro upijem się z sobą — *bo ty dobra detyna* i zuch, a do tego sługa (tu zdjął czapkę) J. O. Księcia Wojewody wileńskiego, to pan nad pany *koły ty jeho dworanin*, to ty nie *hirszy* za mene, jaby sam u niego służył. — Na to Pan Łopuski, — A jużci na to nie pozwolim, tamto litewski pan, a Pan nasz Pan, nam szlachcie służyć, a wam równym sobie panom panować. — *Pokiń, pokiń Pane Łopuski, daleko kuciomu do Zajcia*. *Kołyb ja wsich moich ludej i Żydów z ich żynkami i detmi w kuczu nahromadyw i połowiny nie būtųoby toho, szczo on towko maje w swojej milicji a szczo za dwir jeho ! Marszałek bilszy Pan za mene*. Wiesz Waszeć Mospanie Soplico ! że przed kilkunastą laty cale półrocze przesiedziałem u waszego Pana w Nieświeżu — widzisz tę kresę co ją mam na łbie ? To pamiątka po panu Ignacym Wołodkowiczu. *O se buw mołodec, i z rodu takoho ne baczyw, bywało sablu jak sykiru rubaje aż triski litajut*. Powadziłem się był z panem Józefem Rejtanem, i dwa palce jemu odrąbałem, a pan Wołodkowicz ujął się za nim, — A no ze mną Mospanie kaniowski. *Dobre, każu, poborym sia, ale jak dał meni po hłowowi wsi nebesne zwizdy mohbym porachowaty*

to my pisle toho tak sia polubyty, szczo bez sibia żuty nie mohły. Oy kołyb ja baw tohda w Nowohrodku jak jemu konieczyna przychodyła, sey proklaty pip anib ieyo tyznów, szczoż robyty, ja za nim płakał jak detyna, szest widyl piw diń i noczu a smutku nie moch zabuły. A Waścin Ksiaże, ale oto pan, w Koronie tylko podpanki, nema z kim żyty. Mospanie Soplico! przepraszam żem Waszeci z razu źle przyjął, ale jakeś mnie oddał list pana Podczaszego, a nim się mógł spodziewać że i od Waszego Księcia mnie drugi przynosisz. Myślałem że znowu mnie laje, bo gniewa się na mnie Podczaszy, a sam osądź czy ma słusznosc, — Kiedy wasz Ksiaże przed nieprzyjacielem uchodził Podolem na Wołoszczyznę, ja w Buczaczu zacząłem zbierać szlachtę i kozaków, już było wszystko gotowem do boju, — A Żyd cyrulik sobacza wira, który miał przystęp do mnie, o każdym moim kroku donosił jenerałowi Zagrajskiemu, który stał z komendą w Płoskirowie. Ja o niczem nie wiem, — aż tu nyszczenkom pryszły wrahi do Buczacza, mene uchopyły, potaszczyły do Kijowa i trzymały zapertaho póki ne było uże po wsim. To za teje, jak wpade w mie ruki jaki Żyd, ne pytaju sia zwydky a wołdaju za swoje.. — Jakiś Żyd pokazał się w Kaniowie na Mikolę i zaczął moich chłopów w kubki ogrywać, a czort wiedział, że on z Morafy ja na niego Magdeburgję sprowadził i Żyda powiesili, wielkie święto a pan Podczaszy do mnie z wymówkami.

Ja sześć bryk kazalem naładować Żydami śniatyńskimi i buczackimi, i te wszystkie bryki przewrócić na dziedzińcu morafskiego zamku. Za jednego Żyda, *wid daju bilsze sto a odczepysia*. A Pan Podczaszy jeszcze gorzej się rozgniewał, i taki wypalił do mnie list, *ze kołyb to ne buw Potocki, jak i ja tob, ja jemu..... ale pokińmo o tym. Panie Łopuski szczoby pan Soplica u nas wsiu maw wyhodu*. Bo to radziwillowska czeladka. A teraz panie bracie, powiedzno w jakim interesie do mnie przyjechałeś. — Niech się nacieszę jeszcze JW. Panem, o interesie będzie pora mówić, jak się rozgoszczę, to o wszystkim objaśnię. Dziś Sobota, Pan zwykłeś dziś suszyć, i mnie sługę swojego na zbawienną drogę naprowadzisz, przy kielichu jutro gładziej pójdzie, a tylko panny o wodzie rozprawiają. — Prawdziwy Albeńczyk, i zuch, i mądry, *kołyb ta Subota swytsze minuta, szczoby z Litwakom pobawyty sia*, w Nieświeżu tego piją, albo ja tam pół roku nie siedział? Jak się też powodzi p. Leonowi Borowskiemu? — Zdrów Panie! zawsze wesoly i w łaskach u J.O. mojego l'ana — Albo on tego nie wart, *se hołowa jemu kancelerom buty, a jak pyje, ja na neho z desiat raz porywawsia, ne można było rady daty tak mene buwało położyt, szczo ny ruku ny nohu pidniaty ne mohu*, a pan Leon tylko się śmieje i mówi: śpij, nieboże śpij, i szuka świeżego, żeby z nim dopić, co to mospanie półgarnca wina duszkiem w żywot wleje, *ani*

oddechne, kołyb on do Kaniowa przyjechał, toby ja jęwo jak korola pryniaw. Mospanie Soplico! z najslawniejszymi probowałem się, pijało się, ze Świejkowskim podstolim wołyńskim i z Janikowskim co to ma przysłowie *quinque Diabłów* i z Branickim, kiedy jeszcze był Łowczym koronnym, i z Łahodowskim, co kielichem całą Wielką Polską rządzi, *wsio drań pry Borowski* i Książę Wojewoda wileński dobrze pije, ale daleko mu do niego, na całej Koronie

Litwie jeden tylko Konarzewski co obok niego stanąć może, *oj se mólody czołowik ałe krepki także*, a prócz Konarzewskiego jak świat szeroki, nie ma równego Borowskiemu. To Mospanie kiedy Pan Ignacy mnie nakiereszował, doktor nadworny Księcia Pana obwiązał mi głowę, krew puścił, i wymógł na mnie, żem się na N. Pannę zaklął, iż póki mnie nie pozwoli, wodę tylko pić będę, i nie wyjdę z kwatery. Tęskno mi było w ciupie, modlił się człowiek, modlił, aż się przemodlił. Przyjaciele i sam Książę pan z łaski swojej mnie nawiedzali, a ja im mówię: dla miłości Pana Boga bawcie się u mnie, choć mi pić nie wolno, niech przynajmniej się napatrzą jak drudzy piją. — A Książę Pan zaraz posłał po Borowskiego, bo bez niego zabawa nie warta. A mnie przyszedł koncept do głowy — Panowie! odezwałem się, — Doktor każe mnie pić wody jak najwięcej, zafarbujcie mnie wodę, oszukamy Pana Leona, będzie potem śmiech, że będąc słabym, przepiłem go. Na to Książę Wojewoda: — Dobrze panie ko-

chanku, ale czy doktor pozwoli Waści tyle wody nażłopać, — właśnie Doktor był przy tem, doktor Morysson, który jak wiesz nie był od kielicha. — I owszem, — odezwał się, — niech pan Starosta zdrów pije wodę, ile jej się wleje, a ja sam zajmę się jej zafarbowaniem. — Jak przyszedł Pan Leon wszystko było na pogotowiu i zabawa się zaczęła. Piwniczny wszystkim nalewa wina, a mnie wodę, gładko szło, już wszyscy byli podochoceni, tylko Pan Leon zawsze świeży do kielicha. A ja piję wodę a piję, ledwo trzcina w brzuchu nie wyrosła, nareszcie takem się odał, że ani sposobu wytrzymać, patrzę na Morysona, i oczami modłę się do niego by mi pozwolił aby jeden kielich wina wypróżnić, bo dalej pękne. Domyślił się doktor czego chce, i wyszedłszy zrobił porządek, by mi prawdziwego wina przynieśli, ale jak mi go nalano w kielich, a ja go do ust przybliżył, Pan Leon mnie za rękę. — Nie uchodzi drzwi z ludzi Panie Starosto, czemś zaczął, tem kończ. — Domyślił się jucha, — ja w prośby, spuścił mnie od dalszego picia wody, ale wina pić nie pozwolił ani kropelki. Nie porywaj się z wodą na wino, śpij teraz, i swoje wodę wypoć, a jak doktor da ci indult, służę na gołe łby, bez tych figlów studentskich. — Wszystkim śmiech, a mnie wstyd ale odtąd nigdy głowy przed Panem Leonem nie nakrywał. — Po tej gadce, przybliżyli się do Pana Starosty jego kapelani, których miał dwóch : Dominikana i Bazyljana, nawet szczególnie ruski obrządek miłował, a ja

by się nie naprzykrzeć, poszedłem sobie z panem Łopuskim, który mnie odprowadził do naznaczonej mi kwatery, i kobyłę kazał wiaść na obrok pański, a wózek zostawiłem z chłopcem na gospodzie, bo tak i nie dowierzałem panu Staroście, by nie była jakaś napaść, jak się dowie, że pozwalam sobie wózka. Roztassowałem moje mizerje na kwaterze, ale nie długo w niej siedziałem, bo dano mi znać, że pan Starosta każe sobie służyć na obiad. Na tym obiedzie, i wstawszy od stołu, ciągle był zajęty mną chudym pacholkiem, — wszystko mię wypytywał o znajomych mu Litwinach, i nie było mowy, tylko o życiu nieswieżkiem. — I było tego dobrego do wieczora, który się jednak bez burzy nie obszedł. Bo woźny trzy pozwy położywszy na Ekonomji a któremu już kilkakrotnie udało się ująć z Kaniowa bez szwanku, gdyż gęste pozwy sypały się na Pana Starostę, jakoś nie uwinął się i wpadł w ręce Kozaków, którzy mu relacje gotowe wytrzęśli. Biedny Woźny sto nahajów dostał, a nie dwieście wedle obyczaju kaniowskiego, bo na jego szczęście to było w Sobotę, a na cześć Najświętszej Panny w dniu tym Pan Starosta zawsze pół kary odpuszczał.

Można było uważać, że przy końcu dnia, JW. Gospodarzowi bardzo się ta Sobota przykrzyła, i że niecierpliwie wyglądał Niedzieli, aby co prędzej popieścić się z kielichem. Zakończył nareszcie Sobotę, ale w taki sposób że nawet zakonnicy jego otaczający mogli być wielce zbudowani. Bo i Koronki odmówił, i

Godzinki Niepokalanego Poczęcia śpiewał, i to z całym dworem, a tak gorliwie, że sto różeg kazał dać jednemu ze swoich paziów, za to, że ziewnął podczas jednej Antyfony. A jakeśmy się porozchodzili do wczasu, ledwom mógł zasnąć na kwaterze, bo aż do północy wszystkie dzwony Kaniowskie kołysały się na cześć Najświętszej Panny, *in gratiam* Soboty. W. Panu Staroście była wielka mieszanina pobożności i chymer. Nazajutrz jako w Niedzielę, za przykładem Pana, goście, dwór, czeladź i poddaństwo, jak się zebrało w Kościele, na jutrznię, to dopiero aż po summie z niego wyszli: a wszystko się modliło gorąco. Dałby Pan Starosta temu, coby w prawo i lewo okiem rzucił, bo chociaż sam modlił się z wielką skrucą, ciągle klęcząc, co chwil kilka patrzył, czy wszyscy obchodzą się przyzwocie. Oba kapellani kazali, jeden po polsku, drugi po rusku, jedli oni chleb pański, ale dla tego nie oszczędzali Pana Starosty, pełno było w kazaniu dla niego nie wątróbek, jak to ludzie mówią, ale głogów i cierni. Jeszcze Dominikan jakoś zdaleka mu przymawiał, ale Bazylian po prostu siepał, bez ogródki piorunował naprzeciw pjaństwu, popędliwości, niehumanemu obejściu się z podwładnymi, tak, że choć nazwiska nie wymieniał, właśnie jakby palcem go wytykał. Pan Starosta jakby nie o nim, tylko głową kiwa, oczy mrużąc, do *Sanctissimum* obrócony, i w piersi się bije kulakiem. Może komu z tego był śmiech, ale ja się budowałem, i wielkie powziąłem uszanowanie dla Pana Sta-

rośty, za to, że tak pocziwie wierzył. A czemu powie kto, nie tak dobrze wierzył. To zle bez wątpienia, ale gdyby taka wiara była jak uczynki, to byłoby jeszcze gorzej, co złego, temu przyganiajmy, lecz czemu nie pochwalić co jest dobrego. Po nabożeństwie była sessja ekonomiczna, na której sam Starosta, jak zwykle zasiadał, o wszystkim wiedział, nic bez jego rozkazów się nie robiło. To był zawołany gospodarz, a nie tylko dyspozytorowie nagromadzili się, ale i ciwunowie, których tam *przysiężnymi* zowią, a każdego wysłuchał i badał, tem łatwiej, że po ukraińsku mówił jak diak. A Kozacy z nahałem stali przed oknami kancelarji, gotowi sypać plagi na znak pański. Jakoż nie obeszło się bez kilku egzekucji. Strach się malował po twarzach wszystkich oficjalistów. Jedna z pomiędzy wielu egzekucji dnia tego, chociaż boląca, nieco mnie rozśmieszyła. Przed kilką tygodniami pan Starosta był sprzedał *certum quantum* pszenicy Piliponom Kaniowskim. Otóż w jednym folwarku, dyspozytor zniosłszy się z przysiężnym, kilkanaście korcy czelnej pszenicy w poślad wmięszal, i sobie zabrał w moc ordynarji, bo że w tym roku jarzyna chybiła w Kaniowczyźnie, poślad pszenny w miejscu owsa przyjmowali Ordynariusze. Ale Pan Starosta co wszystkiego zawsze doszperał przez swoich Kozaków, po nitce dobrał się do kłębka; rozgniewał się tedy okropnie i krzyknął na Kozaków by położyli dyspozytora. Ale ten zaczął się wymawiać swoim szlacheństwem, że nie jest on z takich,

co ich najwięcej na Ukrainie i Wołyniu, co to tylko Szlachcic alias, ale że on jeszcze z dziada i pradziada ma zasługi w domu Potockich. A trzeba wiedzieć że Pan Starosta zawsze miał wzgląd na szlachectwo, o którego rzetelności był przekonany. Zaraz się opamiętał. — Otoś mnie zagadł! prawda synu, prawda, tyś szlachcic, twój ojciec był towarzyszem w mojej chorągwi, *byty ne budu, ale koły ty szlachtyc na szczo kradesz, a taki nezabud budesz maty*. Kazał położyć dyspozytora, a na nim przysięznego i temu dwieście nahajów odliczono tak, że szlachcic służył chłopu za ławę. A jak oba wstali przysięznemu powiedział, *pamiętaj sobaczy synu, szczo by z ekonomom nie zmawlaty sia na szkodę pańsku, szlachtyc sia wykpyt, a tobi bude bida, teperki pokłony sia ekonomowi i podiakuy jemu szczo on pozwoływ tobi na nym leżaty*. A Wac Pana panie szlachcicu, proszę dziś do siebie z innymi na obiad. — Było tam jeszcze rozmaitych kawalków, ale Bóg świadek, że w tem wszystkim było silne wyobrażenie sprawiedliwości. Sessja ekonomiczna skończyła się przed samym obiadem. Wszyscyśmy poszli do stołu za Panem Starostą. Co było na sessji to było, ale po niej uprzejmie każdego zaprosił, tak, że kilkadziesiąt osób siedziało za stołem. Mnie nie daleko siebie posadził, piwniczny nam wino nalewał, a na szarym końcu stał miód w dzbankach na stole, ale tak obficie, że każdy mógł się opić jak bąk : jakoż uważałem że nikt tam swojego gardła nie oszczędzał. A Pan Starosta

po sztuce mięsa już rozpoczął zdrowia kolejnym kielichem. Pierwsze zdrowie było mojego Pana JO. Księcia Wojewody Wileńskiego. po którego spełnieniu za danem hasłem wszystkie armaty kaniowskie huknęły, a inne zdrowia spełniano, ale bez wiwatów. Wszystkich mu znanych Litwinów pił zdrowie, i kazał mi za powrotem moim ich uwiadomić, jak zachowuje ich pamięć, a szczególnie by Księciu Wojewodzie oświadczyć, że nigdy w nim nie przestanie mieć gorliwego i poświęconego slugi, który żadnej nie opuszcza sposobności, aby uczcić tego wielkiego męża, któremu równego ani świat, ani korona polska nie wydały. To był prawdziwie dzień świetny dla naszej Litwy, gdyby cała mogła być obecna tej uczcie, takby się rozrzewniła jak ja który w jej imieniu ze łzami dziękowałem, i odpijałem wdzięczność za to zachowanie, co jej syny uskarbili sobie na Ukrainie, a którą wynurzał jeden z najznakomitszych magnatów tej strony od nas oddalonej. Byłem przejęty uczuciami najgłębszej wdzięczności, po pierwsze za cześć kilkakrotnie wynurzoną JO. Wojewodzie wileńskiemu, Panu i dobroczyńcy, którego smaczny chleb od tylu lat jadłem, a którego szczodrota i wówczas wstęp mi dała do zamku przemożnego Pana, gdzie byłem przyjęty nie jak sługa równego jemu magnata, ale jak przyjaciel. Bo powinien nawet lepiej niż ja, nie mógłby być ugoszczonym. Powtóre za tę zaszczytną pamięć, co ją serce pana starosty kaniowskiego zachowało, o tylu Litwinach zacnych, po wię-

kszej części z mojego województwa, a z którymi wychowałem się i kolegowałem: a nawet wprost za siebie samego kilkakrotnie musiałem dziękować. Bo nie tylko że jedna kolej obeszła za powodzenie szlachty W. Księztwa Litewskiego, do którego grona mam zaszczyt należeć, i to wyznaję bez obawy, by mnie o chępliwość posądzono; ale Pan starosta pil zdrowie bandy albeńskiej, co mnie jeszcze bliżej dotykało, bo jakem wspomniał, świeżo byłem przypuszczony do tego towarzystwa, którego barwę ciągle w Kaniowie na sobie miałem. A nakoniec Pan Starosta, niech go za to Pan Bóg stokrotnie i na tamtym świecie błogosławi, mnie chudego pachółka zdrowie stojąc spełnił, jak wszystkich innych. Bogiem i ludźmi się świadczę, że tak było a nie inaczej, a ja klęcząc spełniłem kielich dziękczynny, i nie taję się, że mu kolana ucałowałem. Już dawno było po obiedzie, a my pijem a pijem, a Pan Starosta tak wylany nie tylko dla mnie, którego się usadził okryć szczególnymi względami, ale i dla oficjalistów swoich tych nawet, co ich ofukał na sessji. A jaki miły w opowiadaniu, ciągle coś wesołego miał do mówienia. Mospanie Soplico — mówił mnie — ogadano mnie przed światem, że tyran na szlachtę, broń mnie Wać Pan przed ludźmi. Wszak ja sam szlachcic, a podły ptak co swoje gniazdo paskudzi. Byłeś świadkiem, że choć tak uniosłem się na ekonoma, skoro tylko się złożył szlachectwem, dałem mu pokój, i choć okradł mnie na sucho go puściłem. Prawdziwe-

mu szlachcicowi nigdy w skórę nie dałem; chyba niewiedziałem o jego zaszczycie, naten-
czas, *ignorans peccavi*, a że mnie dekretami
osypano, nie dziw, bo tutejsi sędziowie takiego
samego szlactwa jak ci, którym skórę roz-
pruwszy musiałem ją moją kieszenią nadlatać.
Kruk krukowi oka nie wykole. *Ot tepir jak eko-
nomska detyna nad nami panuje, kto w Boha
wiryt i nie wiryt, to szlachtyc*. Kiedyś to szla-
chectwo nasze było zaszczytem nad zaszczyta-
mi, *a nyne tak go Poniatowski zasmerdyw
szczo sorom do szlactwa przyznawaty sia,
Bih mene osudyt, a lude nechaj brechajut*. Wac
Pan sobie nie wyobrazisz, co to się dzieje w
naszej Ukrainie. Mam sąsiada *Wołyneckoho*,
dorobił się dziedzictwa ale *ladaszczo*, jak za-
czął mnie dokuczać, cierpliwości nie stało, to
karczmy stawił mnie na podryw, to w grunta
kaniowskie się worywał, to zające szczuł na
mojem polu. *Ja jemu raz każu, oj Mosanie
Wołynecki odczepy sia, bo dohrajesz sia, —
Nakonec na mojej zemli ja jeho uchopył i piat-
sot tam kazał mu nasypaty hde potrybno, a win
jak sia wylizaw na mene z pozwom do Grodu*.
Ja tłumaczę się że on *Popowicz*, i stawię ludzi
szczo *jeho* *batka* *znały*, *ale i sudia i pidsudki*
takowoże *rodu*, *szczo i win*, i szlactwo *pro-
tiw Bohu* *mu przyznały*, i więzę kazali mi wy-
siedzieć, że musiałem pięćdziesiąt tysięcy za-
płacić, a tak *moju krywdu* *podiliły* *sia*. Zgubić
mnie chcieli. *Ja* *tu szlachtę* *robię* *jakby* *jaki*
hetman, *komu* *dam* *w skórę* *ten* *zaraz* *i szlachi-*

cicem się robi, a potem za moje pieniądze zostaje osiadłym. *Od Kaniowa aż po Skwyru kto didycz, to szlachtyc mojej roboty.* Jeszcze za to na mnie psy wieszają, taka to tutaj wdzięczność że na ludzi kieruję. *Meni ne hroszy żal* ale kraju, my szlachtą stali, a jak szlachectwo się spaskudziło, obaczysz że i kraj upadnie. *Szczoz robyty, jaki Pan taki kram.* Co tylko złego to od Poniatowskiego wyszło, pojedźno do Warszawy a obacz kim się otoczył. Aż ks. Naruszewicz który choć wiersze pisze, przecie dobry szlachcic, a nawet waszego Księcia koligat, — to on lubo zausznik Króla, nie może wytrzymać i mawia, czy Król myśli papiernie zakładać, że tak zbiera gałgany. Warszawa gorsza niż Sodoma, same Farmazony i Lutry. *Bohu ne bojutsia a takie teper Senatory i Dygnitary, szczoby kołys ny ktob ich na ekononów ne wziaw,* Pan Potocki Chorąży koronny *didycz* *Humañczyzny kołys meni każe.* Bracie Kaniowski już waszeć dawno Starostą, pojedź do Warszawy, żeby nowe krzesło do domu Potockich przybyło, — A ja mu na to : *uwa! a szczoto ja soroci z pod chwosta wyliz, szczoby mene Poniatowski meźdu senatory posadyw.* *Chwałyty Bohu z jeho łaski nyczocho ne maju i ne budu maty.* *Buczacz i Śniatyń to moieho* *Batka pracia, a Starostwo Kaniowskie dał* *mi nieboszczyk Sas* *szczo ałe buw korolom —* *Bude z mene.* *Żynki i deti ne ma i nebudet,* do śmierci wystarczy, a krewni choć nic nie znajdą, z siebie bogaci; na co tłusty poleć smarować!

I tak piliśmy i gawędziliśmy cały tydzień jako z tém się oświadczył na wstępie Pan Starosta — a przyznam się że choć zabawa miła i umiałem cenić poufalość magnata, rad byłem że tydzień się kończy, bo zdrowia dalejby nie stało, co nocy iść do wczasu bez przytomności a nazajutrz toż samo powtarzać. Dopiero w piątek odważyłem się mówić o moim interesie, bo już w dniu tym był koniec zabawom, gdyż w sobotę pijatyki nie było, a w niedzielę zaraz po mszy świętej miałem opuścić Kaniów. Pan Starosta nie tylko że się nie zasepił, ale z uprzejmem obliczem przyznawszy mi wszelką słuszość, powiedział: Jeszcze dziś się pobawim a jutro skończym interes. I w samej rzeczy; nazajutrz że nie było pieniędzy w kassie, dał mi prosty skrypt, którym do kapitalnej sumy dołączył najskrupulatniej procenta, z których gdy część odstąpiłem panu Łopuskiemu, ten spłacił mnie sumę. A tak z kabzą napelnioną wróciłem do żonki, wedle słów JÓ. mojego Pana, — do którego Pan Starosta własną ręką przezemnie napisał list nie krótki, choć pisać nie lubił, jeszcze na *niezabud* darował mi smycz chartów personatów, co każdy z nich pojedynczo wilka chwycił. Te charty były głośne na Litwie, a ich gniazdo lubo u mnie się zwiodło dotąd jednak w psiarni radziwilimontskiej się zachowuje.

Nikt nie jest bez ale; i Pan Starosta Kaniowski za życia nie był świętym. — Ale że miał dobre serce, że był gorliwym katolikiem, że

było w nim wiele wspaniałomyślności, jest to prawda, o której wątpić nie mogłem. Wprawdzie wiele złego o nim słyszałem, ale wiele dobrego sam widziałem i doświadczyłem. Bynajmniej nie zadziwiło mnie, jakem się dowiedział że w lat kilka potem, skończył życie w Poczajowie w wielkiej świętobliwości i że prostaczkowie, pobożnie nawiedzają jego zwłoki.

KONIEC TOMU ÓSMEGO I OSTATNIEGO



Paryż, drukarnia braci Rouge, Dunon i Fresné,
ulica du Four-Saint-Germain, 43.

340825

W KSIĘGARNI LUXEMBURGSKIEJ.

PRÓBKİ HISTORYCZNE

HR. HENRYKA RZEWUSKIEGO

(Dzieło pośmiertne.)

Z przedmową Bolesławity.

Treść zawartych w tem dziele przedmiotów :

O hr. Rzewuskim (wyjętek z *Rachunków na rok 1866*).

Słówko wstępne Bolesławity.

Przedmowa autora.

- I. Cywilizacja.
- II. Powołanie historyczne umysłu.
- III. Formy polityczne.
- IV. Prześladowanie Chrześcijan.
- V. Władza i wolność u Pogan.
- VI. Władza i posłuszeństwo chrześcijańskie.
- VII. Azja i Europa.
- VIII. Hebrajczyki.
- IX. Kapłaństwo i ascetyzm.
- X. Prawda.
- XI. Wiek średni.

1 tom 19-18. Cena 3 fr. 50 c.